



Mirosław Derecki (md)

EKRAN I WIDZ: BAREJA NARESZCIE BAWI

Powiadają, że kiedy ambitny człowiek bardzo się uprze, zawsze w końcu osiągnie upragniony cel. Tak też się stało w wypadku Stanisława Barei, który przez wiele lat, z godnym podziwu uporem starał się nakręcić dobry film komediowy. W ciągu owych lat przyzwyczajono się, że Bareja robi filmy mierne i nawet przestano mieć o to do niego pretensje. Tymczasem na zakończenie 1974 roku Bareja spłatał publiczności figla: na ekranach kin pojawiła się jego (szósta już z kolei) komedia - „Nie ma róży bez ognia”, komedia na której nareszcie można się śmiać.

Inna sprawa, że śmiech wybuchający na widowni jest niejednokrotnie śmiechem przez łzy. Czyż może być inny, skoro akcja rozgrywa się w scenerii aż nadto znanej większości widzów, scenerii nowopowstającego wielkiego osiedla mieszkaniowego, we wnętrzach, w których odpadają ze ścian tynki, urywają się klamki, wypadają drzwi z zawiasów, pękają nagle rury wodociągowe zalewając mieszkanie? Niby nic nowego - ani w życiu, ani w polskim filmie - bo temat dość oklepany, niejednokrotnie brany przez reżyserów na warsztat, ale jednak śmiejemy się. Między innymi także ze złośliwej satysfakcji, że podobne jak my problemy mieszkaniowe mają i inni.

Ale w „Nie ma róży bez ognia” reżyser dotyka również problemu dotąd nigdy chyba jeszcze nie poruszanego na ekranie: nabrzmiałej od lat sprawy meldunków w Warszawie. Owych fikcyjnych małżeństw zawieranych (za sutą opłatą) przez obywateli z prowincji z obywatelami stolicy w celu osiągnięcia upragnionego stempelka w dowodzie osobistym i wszelkiego rodzaju innych pomysłowych „chwytów”, które dają pole do popisu - a przy tym i niezły zarobek - różnym kombinatorom. Wreszcie film jest złośliwą satyrą na bezdusność i ograniczoność pracowników administracji osiedlowych, choć trzeba obiektywnie przyznać, że w ostatnich latach wcale nie jest w tym względzie tak źle, jak to Bareja sugeruje.

Niezależnie jednak od wszelkich problemów, które mogą nas złościć, śmieszyć czy bawić, Barei należą się przede wszystkim brawa za dobre pomysły reżyserskie, świetne tempo z jakim prowadzi film oraz umiejętne rozłożenie akcentów humorystycznych.

Równie brawa - dla Jacka Fedorowicza, nie tylko jako dla autora błyskotliwie napisanego scenariusza, ale również jako dla odtwórcy głównej roli męskiej. Jest to chyba

najlepsza rola filmowa Fedorowicza, tego wszechstronnego zresztą artysty, który równie dobrze sprawdza się jako plastyk (zawód wyuczony), jak i aktor czy literat-satyryk. Filmowy Janek - skromny, młody nauczyciel, który z chwilą otrzymania nowego mieszkania wpada w niesamowite tarapaty życiowe, ma doskonałego partnera w osobie Jerzego Dobrowolskiego, którego talent komediowy znamy i pamiętamy doskonale z telewizyjnego „Expressu”. Dobrowolski zasłynął jako świetny odtwórca postaci z pogranicza marginesu społecznego, ujmujących w sposobie bycia cwaniaków i kombinatorów. W „Nie ma róży bez ognia” jego sposób bycia i kapitalne powiedzonka, podpatrzone i podsłuchane na warszawskiej ulicy, wzbudzają na widowni huragany śmiechu. Fedorowiczowi i Dobrowolskiemu godnie partneruje reszta ekipy aktorskiej, m. in.: Mieczysław Czechowicz, Wiesław Gołas, Bohdan Łazuka, Wojciech Siemion, Stanisław Tym, Jan Kobuszewski, Halina Kowalska i Stanisława Celińska.

W sumie: „Nie ma róży bez ognia” jest komedią inteligentną, ciętą i błyskotliwą, a że występuje w niej prawie cała czołówka polskich aktorów komediowych, tym bardziej godną obejrzenia.

Pierwodruk: „Kamena”, 1975, nr 1, s. 14.